

Grzegorz Musiał

Stan płynny, czyli dwieście wierszyków na różne okazje : (fragmenty)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (48), 193-205

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Grzegorz Musiał

**Stan płynny,
czyli
dwieście wierszyków na różne okazje
(fragmenty)**

Fotografia pisarza: mądre spojrzenie szarych oczu. W tle dramaty Racine'a oraz coś z filozofii. Wszystko w gustownych oprawach.

Kto to powiedział: im mądrzej, tym głupiej.

* * *

«(...) bezład i niespójność są dziś źródłem, z którego czerpie talent: to nec plus ultra w sztuce. W początkach wieku pojawiło się kilku hermetycznych geniuszy; odtąd hermetyzm zastępuje geniusz. Wynalazek w istocie genialny: jeśli twój król jest nagi, wyjściem będzie lamigłówka z tysiąca porzrzucanych kawałków: kto ośmieli się twierdzić, że nie ma wśród nich koronek i klejnotów?» (Vercors: «Tratwa meduzy»).

Klejnoty Prusta.

Koronki Borgesa.

Pracowite perełki intelektualne Eliota.

Lodowate diamenty intelektualne Joyce'a.

Duchowe zegarki szwajcarskie Kafki.

Celne platynowe strzałki Huxleya.

Zimne strumienie podświadomości. Perfekcja budząca grozę.

Nawet gdy traktuje o smutku i tęsknocie, o czymś tak bardzo ludzkim, zwyczajnym jak miłość i nadzieja, w uważnych chłodnych rękach GENIUSZA, na ostrych skałkach jego arktycznej duszy,

traci swój blask i ciepło, zaczyna żyć światłem odbitym od jego księżycowych cierpień.

Zastrzegam się raz jeszcze — nie jestem zwolennikiem tak zwanego mięsa życia. Hemingway nudzi mnie śmiertelnie. Od Hłaski uciekam, gdzie pieprz rośnie. «Wielkie wygrane» tysiącokrotnie wolę od «Wielkiego Gatsby'ego».

Lecz chłodna doskonałość wzruszeń, perfekcjonizm wzlotów i logiczna konsekwencja upadków, zawsze budziła we mnie lęk; nie wiem dlaczego, bo tylekroć znów urzekła mnie genialna prostota wyrazu, głębia jasności, żywość fikcji, lecz zarazem tęskniłem przecież za niespójnością, chaosem, bałaganem «Wilka stepowego», za gorzką niedoskonałością «Gatsby'ego», za pijackim uporem twórczym Hemingwaya i literacką żebranią Hłaski. Za tymi zwykłymi, cierpiącymi ludźmi, którzy w histerycznym ataku na górę lodową geniuszu ponoszą zawsze klęskę. Lecz o ileż ta klęska bliższa jest mnie, człowiekowi tak samo jak oni skazanemu z góry na gombrowiczowską «niemożność», na ciągle -niedo, -nietak, -nietędy, niż tamta lodowata pewność pióra, pewność ducha; nawet gdy — jak Kafka — ukaże nam swe rozdarcia i splątania, są one w tak wyśmienitym guście, są tak comme il faut, tak niezawodne w swej przerażającej precyzji, że książkę zamykasz z westchnieniem ulgi, jak po dramatycznym, lecz męczącym nieco i kłopotliwym spotkaniu z aniołem.

I szczęśliwy wracasz między ludzi.

Na ulicę.

Do knajpy.

Należy czytać Cendrarsa.

Powinno się czytać Cendrarsa.

Bewzględnie nakazuje się czytać Cendrarsa.

Cendrars — to jest to!

Cendrars: w domu, w kościele, na plakacie i w gazecie, w sklepie, w książeczce do nabożeństwa i w legitymacji.

Cendrars: uwodzicielski, uzdrowicielski, niesprzedajny, namiętny, płochliwy, dumny, kabotyński, puszczański, wyniosły, arogancki. Serdeczny, przytulny, kochliwy i słodki brutal.

Cendrars.

Polatuje sobie; z ironicznym uśmieszkiem unosi się nad własnym życiem, w którym zdarzyło się wszystko, co może się pojedyncze-

mu człowiekowi zdarzyć.

Wybiera z tego co lepsze kąski, lepi z nich fantastyczne figury, puszcza do wszystkich perskie oko, dmucha mydlane bańki, kręci młynka przed nosem, po czym znika jak jesienny emeryt Schulza, w pełnych rozpylonego światła przestworzach...

Należy czytać Cendrarsa.

Należy kochać Cendrarsa.

Należy uczyć się Cendrarsa.

* * *

Potrafie, tak jak przypuszczalnie ogromna większość ludzi, myśleć i odczuwać wyłącznie sobą. Niestety — ja się do tego przyznaję, dając w ten sposób broń do ręki tym wszystkim, których stać tylko na łatwe uogólnienia i którzy przy pierwszej okazji zawrzasną chętnym chórem: egoista; zarozumialec! dandys! nie chce ludzi! nie rozumie ludzi! gardzi nimi!

Tak. To prawda. Nie rozumiem ludzi, podobnie jak oni nie rozumieją mnie. Wzajemne zrozumienie jest fikcją. Można najwyżej próbować. Lecz nawet tego od nich nie żądam.

Ukazuję im po prostu część prawdy o sobie czekając, aż trafi ona na kogoś, kto nosi w sobie podobne ziarno. Wtedy jest on moim przyjacielem. Lecz nawet gdy zdarzy się coś tak fantastycznie rzadkiego, jak odszukanie przyjaciela, nie popętniam tego szaleństwa, by żądać od niego pełnego zrozumienia. Byłby to z mej strony akt pychy — kazać mu swoje miary dostosowywać do moich, kazać mu włączyć we mnie, błąkać się w ciemnościach, wertować zakurzone szpargały. Nie, nie, po trzykroć nie! Jedyne czego pragnę, to tolerancja. Jeżeli już wiemy, że jesteśmy do siebie podobni, to niechże te nasze podobieństwa różnią się trochę od siebie! (...)

...wasze ja jest słabe, wymaga ciągłego zachodu, ciągłej obrony, bo oparte jest na mieszaninie kłamstw, wybiegów i mitów, jakie stwarzacie, aby powiększyć się w oczach innych.

Zbudowaliście ogromny, pusty gmach nadmuchanych wielkości, w którym mały, zagubiony, nie wiedzący co z sobą począć błąka się Człowiek. Nie dość jednak na tym. Ten człowiek was kompromituje, jego krucha obecność niweczy trud waszego odczłowieczania, przeto niszczyte jego lęk, wyśmiewacie wahanie, dławicie krzyk, którym pragnie przypomnieć o swojej obecności...

* * *

Alte Pinakothek w Monachium.

Poszedłem tam tylko po to, aby obejrzeć autoportret Dürera. I nagle zgodnym chórem wrzasnęły na mnie nieszczęsnego, ze wszystkich ścian naraz, Cranachy, Holbeiny, Altdorfejfy i Burgkmairy, Rubensy i Kulmbachy, Tycjany i Rafaele, ryknęły na mnie oburzone moim zachowaniem: a my?!, co to znaczy, jakie ty masz maniery! chodź natychmiast, ale już!

— Do mnie! do mnie! do mnie — wołają niezliczone Dzieciątka, — a co ze mną, a co ze mną?! — mażą się Maryje w grotach i wśród skał, na poduszkach i bez, w fotelach lub na stołeczkach — a teraz ja! a teraz ja! — wołają święte Józefy, Sebastiany, Barbary i Łucje... Ooooooooo! uciekam przerażony nie odszukawszy Dürera, ale szczęśliwy, że skórę uniosłem cało.

* * *

Byłem w Krakowie w poszukiwaniu protekcji. Odwiedziłem pisarza W. W., z którym umówiła mnie moja literacka ciotka L. Pisarz spoglądał na mnie życzliwie oraz uśmiechał się z dobrocią. Jakiż szlachetny to mąż! Ileż słów pięknych pada i uczuć objawia się w geście każdym!

Pisarz mówił o moich wierszach.

Potem ja mówiłem o jego książkach.

Pisarz wyraźnie się ucieszył i przestał mówić o moich wierszach.

Potem ciocia mówiła o książkach pisarza.

Potem pisarz mówił o zaletach cioci.

Potem ciocia wzięła kruche ciasteczko i robiła wrażenie zawstydzonej komplementami.

Potem weszła żona pisarza i mówiła, że kran przecieka.

Potem siedzieliśmy jeszcze chwilę.

Ciocia Eda

Jeszcze jedna w tej poczwarnej kolekcji, w tym schizoidalnym sadomasochizmie Piękna. Jeszcze jedna uwieszona wiosną wilgotnych kiści bzu, rozsiewająca wokoło różaną wodę serdecznych spojrzeń i uśmiechów, uwielbająca wszystkich jednako i każdemu gotowa oddać wszystko z wyjątkiem... no właśnie. Tu kończy się Piękno, a zaczyna ciocia Eda.

(sama rozumiesz kochana, że nie mogę skoczyć na ratunek twemu synkowi, mogłabym sukienkę zabrudzić, a to przecież prezent od kochanego Zbysia — tu czuły uśmiech w kierunku męża, któremu i tak wszystko jedno)

(ach, wiesz że dla ciebie wszystko bym zrobiła, ale nie mogę, naprawdę nie mogę wpaść i odciąć cię ze sznura, to okropne, ale tyle wciąż pracy, a poza tym mógłbyś wcześniej powiedzieć, że zamierzasz się wieszać...)

(to straszne, że taka u was bieda, kochani, jestem doprawdy wstrząśnięta, wpadnijcie kiedyś to sobie pouczujemy, tylko nie dziś, kochani, nie dzisiaj, bo jestem już umówiona...)

(jak tylko wam czegoś zabraknie, to dzwońcie, wpadajcie, wiecie, że można liczyć na starą ciotkę, ale dopiero po wakacjach, albo lepiej za rok, może najlepiej na drugim świecie, tak, umówmy się na później, powspominamy sobie, pogadamy nareszcie do woli, tyle wciąż pracy, człowiek zaganiany, ale życie jest piękne, naprawdę piękne...)

Na wycieczce w Paryżu rzuciła żebrakowi parę polskich monet, bo: «akurat nie miałam franków przy sobie, a on tak spoglądał, że serce się krajało», zaś obszarpanej dziewczynce na stacji Paddington, gdy podeszła do niej ze słowami: «jestem głodna, czy ma pani co do zjedzenia», chciała w miłosiernym odruchu dać bilet na film «Wielkie żarcie», lecz miała tylko jeden, więc: «sama rozumiesz kochana, że nie mogę, ale wpadnij kiedyś do mnie do hotelu to na pewno coś dostaniesz» — rzuciła, nie podając oczywiście adresu. I tak żyje ciotka Eda, osoba wykwinтна i światowa, przepętniona bezgraniczną miłością do rodzaju ludzkiego...

* * *

Już Krzyś mi to kiedyś mówił, że w tym moim bydgoskim mieszkaniu wśród starych, miękkich mebli, wśród fotografii, płyt, cioć i mitów dawnej świetności, błąka się jakiś złośliwy, upudrowany, szczerzący się złośliwie zza balonika z napisem «Witamy rok 1920» duch, który kpi sobie z mojej awangardy, bo wie, że cały ten sposób mówienia, sposób ubierania, to tylko jeszcze jedna mało skuteczna próba ucieczki przed przeszłością i wciąż przypomina mi swą obecnością, że balansuję na krawędzi dwóch epok: tej, którą z legend, z płyt i ciocinych opowiadań wchłonął

w siebie grzeczny chłopiec, oraz tej drugiej, spod znaku pijanego Londynu i szalonej Europy, po której buszował spragniony wrażeń młodzieniec.

I ważne, że w obu tych epokach czuję się niewygodnie: w roku 1920 czegoś mam za wiele (łaty? Joyce? Chomsky?), zaś w roku 1977 czegoś mi znów najwyraźniej brakuje.

Może szczęśliwego uśmiechu mojej Matki, gdy stoi w lekkim futerku przed uchylonymi drzwiami staroświeckiego Forda...?

Babcia

Babcia jest przygłucha. Ma dziewięćdziesiąt parę lat. Maluje. Czyta. Wspomina pałac na Sandomierszczyźnie. Ossowieckiego. Wycieczkę autem po Europie (w Monte Carlo dostałam grypy, w Londynie była mgła, w Brukseli padał deszcz, w Berlinie zepsuł się nam samochód, zjechałam całą Europę i nic nie widziałam. Pamiętam tylko małą gospodę w Czechach, gdzie nie było mgły, nie padał deszcz, samochód działał, a ja byłam jeszcze zdrowa).

Babcia do dziś jest wierna zasadzie miłości, bez której nie ma sztuki. Oraz życia. Z biegiem lat wzrastało w niej pragnienie i jednego, i drugiego. Jej ostatnie obrazy są spokojne, radosne, pełne ukochania tego, co odeszło. W pastelowych kolorach zachodzą umarłe słońca Sandomierszczyzny, śmieją się córki w białych, tenisowych strojach, gołąb przysiadł na gałęzi. (...)

W czarnym kapelusiku, z apaszką przewiazaną wokół szyi, z wielką czarną torbą przewieszoną na ukos przez poły fantazyjnego prochowca, łowi wyblakłymi oczyma kolory zmierzchu, pomarszczoną twarz nadstawia ciepłemu wiatrowi...

I taką ją zapamiętam, gdy mówi — To nieprawda, że nienawiść cokolwiek tworzy. Nienawiść wszystko niszczy. Buduje tylko miłość, tylko ona jest coś warta na tym cholernym świecie...

— Ile krzesłek miał lord Blotton, babciu? (zobaczysz, że ona będzie wiedziała).

— Kto miał, Nataleńko?

— Lord Blotton, babciu! (w prawe ucho, bo lepiej słyszy).

— Blotton? Ach tak, pamiętam, zdaje się jedenaście?!

Siedzimy oślepiali. Natalka czerwienieje z radości.

No nie. Tego Gombrowicz nie przewidział.

— Jak to miło z pana strony, że pan mnie na wystawę zaprasza, panie Macieju. Specjalnie sobie na tę okazję nogi umyję.

A może i coś więcej...

(Maciej robi się czerwony jak piwonია.

Spuszcza oczy. Dusimy się ze śmiechu. Babcia puszcza do nas oko. Wychodzi, wyfruwa chichocząc.

KONSTERNACJA!)

— Nie bądźże staroświecka, babciu. Wiesz przecież, że my z sobą sypiamy już od dawna.

— Ja wiem, wiem kochaneńka — rumieni się babcia — nie o to mi idzie, tylko o te... no wiesz... (rumieni się jeszcze bardziej, odwołuje na boczek, szepczą, babcia grzebie w torebce i coś po chwili wyciąga).

— No nie, babciu! Tego już za wiele! — woła Z. szczerze oburzona i pokazuje pudełko z pigułkami,

Ależ kochaneńka, nie bądźże staroświecka! — chichocze babcia i umyka do swego pokoju.

I taką ją zapamiętam, gdy płacząc w słuchawkę mówi błagalnie:

— Niech pan powie, panie Grzesiu, że to nieprawda. No niech pan powie. On nie mógł wyjechać tak po prostu, bez pożegnania...

* * *

Astragale są to wałeczki: oto co przyszło mi do głowy któregoś dnia. Napisałem sobie to zdanie na karteczce. Nosilem je przy sobie jak talizman. Potem karteczkę zgubiłem, ale zdanie zostało. Jego tajemnicza bezznaczeniowość podniecała moją wyobraźnię. Astragale są to wałeczki powtarzałem, ilekroć spotykałem się z czymś, co przerastało moje pojmowanie.

Aż któregoś dnia otwieram «Wielkie wygrane» Cortazara i czytam: astragale są to wałeczki.

Bardzo mnie to zasmuciło.

Okazało się, że astragale istnieją, i że naprawdę są to wałeczki.

Sprawa Manifestu

Młodzi poeci gdańscy postanawiają wydrukować wspólnie nowy manifest poetycki. Dopadają Pana Redaktora,

szarpią, tłumaczą, przekonują, aż wreszcie przyrzeka wydrukować w «Poezji».

Następnie proponują, abym się do nich przyłączył. Sprawa robi się interesująca: wyzwanie, pojedynek, totalny szturm na sprzedajną rzeczywistość literacką! Młodzi znów w natarciu! Drżjż Ziemi! Kryjcie się gady, nim zdepnie was mściwa stopa Młodości!

Siadam do maszyny. Nie! pędzę do maszyny! frunę, rzucam się na klawisze, w tyrtejskim szale płodzę, rżnę, spermą młodego buntu zalewam kartkę po kartce!

Wreszcie pakuję list do koperty. Adresuję: Cały Świat. Nadawca: Młodość.

Wysyłam list, drżę w oczekiwaniu.

Nic.

Cisza.

Wreszcie jakiś telefon, jakieś słowa, tłumaczenia, nieomówienia, aluzje. Pogadamy, jak przyjedziesz.

Przyjeżdżam: Anna smutna, coś męci, nawija, nie tak, nie tędy. Rozumiem z tego, że ktoś nawalił, ktoś nakrzyczał, ktoś oszukał. Nie wiem. Nie czuję. Nie chwytam. Ale słucham dalej: utopił, przepuścił, zamordował czy powiesił, zgwałcił, zdeprawował, zawiódł i nie dotrzymał.

Manifestu nie będzie.

Spisek Przymierzonych padł ofiarą własnej trutki. Wiatr zmienił kierunek i gazy wydusiły napastników.

Ella Fitzgerald smęciła z płyty swe «Stars of Alabama», herbata stygła w szklance, dym tytoniowy dodał trochę drapieżnej melancholii.

Życie.

Cóż.

W końcu jesteśmy młodzi.

I wszystko jeszcze przed nami.

A oto mój manifest:

Dziewięć przykazań

1. Nie pytać wciąż do znudzenia o cel, o drogę i tak dalej. Rzeka nie wie, po co płynie. Człowiek nie wie, po co

żyje. Poeta nie wie, po co pisze.

Poeta nie ma prawa tego wiedzieć.

Jeżeli wie, nie jest poetą. .

2. Żyć, żyć i jeszcze raz żyć. Stawać odważnie twarzą w twarz ze wszystkim, co jest naszym czasem. -Naszą rzeczywistością. Choćby dlatego, że jest to jedyna rzeczywistość, jaką posiadamy. I nie umykać przed nią w tani sentymentalizm, w pięknoduchostwo, które szczęśliwie już dość dawno temu zdewaluowało się samo. Ani — z drugiej strony — w jeszcze tańszy naturalizm, który prostą drogą prowadzi do jednej tylko prawdy: prawdy goryczy i bezsensu.

Omija prawdę nadziei.

Poezja karmi się nadzieją.

Życie jest nadzieją.

Poezja karmi się życiem.

Więc żyć nie wiedząc po co, iść przed siebie, nie zadawając zbyt wielu pytań, i na żadne z nich nie znajdując odpowiedzi.

Tworzyć, czyli pozwalać, aby tworzyło się samo. Z tego, co najzwyczajniejsze, najprostsze, a więc najprawdziwsze: z uśmiechu dziewczyny, z glinianego dzbanka, z biletów tramwajowych i ze słońca, które za każdym razem zachodzi inaczej.

Powinno zachodzić inaczej.

3. Zdumieć się i zachwycić, gdy w czasie wędrówki nagle, z jakiegoś pęknięcia pozornie jednolitej rzeczywistości wyłoni się DZIWNOSC.

Te pęknięcia — to są właśnie wiersze.

Nie szukać ich więc i nie stwarzać. Szeroko otwartymi oczami łowić świat, nie okłamując siebie i innych, że TAJEMNICĘ można stworzyć pracowitym, skrzętnym dtubaniem.

Na nią trzeba czekać.

Ukazuje się ona nielicznym.

Tym, którzy są cierpliwi.

Tym, którzy w nią wierzą.

4. Więc — wierzyć. W cokolwiek. Byle wypełniło to pustkę pomiędzy pewnikami.

Wierzyć, że to co robisz ma swój sens. Nawet absurdalny, ale ma. Absurd to przecież jeszcze jedna z metod opanowywania świata. Nie gorsza, nie lepsza od innych. Więc wierzyć — choćby w absurd, choćby w chaos, o ile jest on poszukiwaniem nowego porządku.

Nowego stworzenia.

Na innym niż dotąd poziomie.

I wierzyć — że na wyższym.

5. *Kochać. Tego nie sposób, nie wolno ominąć. Kochać wszystko, co pomnaża w tobie świat. Pomnaża w tobie ciebie. Pomnaża w tobie drugiego człowieka.*

Poeta musi uważać, by serce nie zmieniło mu się w maszynę do pisania.

Poeta musi bać się skostnienia.

Dla poety tylko miłość jest ocaleniem. Tylko ona daje mu szansę wyjścia poza siebie. Poza skorupkę własnej poetyckości. Tam, gdzie pośród ludzi, pomiędzy fugą Bacha i smażonym kotлетem, uśmiechem dziewczyny i słońcem na szybach, dzwonkiem tramwaju i sonetem Szekspira rodzą się wiersze.

Poeta je zapisuje.

6. *Nie usiłować zrozumieć zbyt wiele. Poezja jest wprawdzie zdzieraniem świata masek, lecz czasem lepiej niektóre maski zostawić na swoim miejscu. Zdarza się bowiem, że choć są tylko maskami, są jednak ciekawsze i bardziej kolorowe od tak zwanej nagiej prawdy.*

Poezja zaś nie umie żyć bez barw.

7. *Stawiać kabałę, wróżyć z fusów, grać w klasy, powagę obezwładnić śmiechem, a śmiech wzbogacać wzruszeniem. Pamiętać, że poeta jest w końcu tylko jednym z ludzi i tak samo jak oni załatwia czasem potrzeby fizjologiczne.*

Z drugiej jednak strony, nie samą potrzebą fizjologiczną żyje poeta. Siusianie i kopulowanie ma prawo być tematem wiersza, lecz ostatecznie nie zawsze trzeba korzystać z wszystkich praw. O tym też się wie, jeżeli nosi się w sobie ziarno śmiechu, ziarno szyderstwa, również z siebie, a może przede wszystkim z siebie. Czyż nie jest to bowiem nowa szansa poezji: wyśmiać siebie samą, rozbić swój zwiertzały kontekst estetyczny.

Dylan Thomas — to był ktoś.

O nim też pamiętać.

8. *Nie łudzić się, że poezją można cokolwiek wywalczyć. Poza wzruszeniem poezja nigdy niczego nie ukuła.*

Poezja służy raczej utrwalaniu tego, co zdobywa za nią miłość i rewolucja.

Poezja im pomaga.

9. Nie nudzić. Sztuka, jak każdy inny towar, musi być przede wszystkim atrakcyjna. A zatem — nie wstydzić się formy. Wyśmiewano ją tylekroć tylko dlatego, że zawsze była tak niebezpiecznie pociągająca.

Więc — szukać szans w tym, co jest pociągające.

Co ma lekkość i wdzięk. Kolor i sex-appeal.

Tylko w takim opakowaniu uda się nam przemycić WIELKOSC i WAŻNOŚĆ.

I tylko tym sposobem, w pół drogi, zatrzymamy odchodzącą publiczność.

10. Nie lekceważyć powyższych dziewięciu przykazań. W przeciwnym razie niechybnie utopimy się wkrótce w gęstych sosach bezsilnej melancholii

Amen.

* * *

«(...) tajemnica wyboru nie mniejsza jest od tajemnicy inwencji (...)» (Paul Valery).

No proszę! Oto i jeszcze jedno motto do «Stanu płynnego»!

«Istnieją nieszczęśliwe czasy, gdy samotność i milczenie stają się jedynymi środkami odzyskania wolności» — też Valery, ale nie Paul. Chodzi o tego drugiego, który był bibliotekarzem Karola Dzięsiątego.

A może by tak zupełnie inaczej się umówić?

Otto Rank, znakomity psychoanalityk austriacki, mówi według Anais Nin tak: psychoanaliza jest wielkim niebezpieczeństwem dla naszych dusz, albowiem zabija to, co analizuje.

Przypuszczam, że na tej samej zasadzie funkcjonuje SŁOWO.

Dlatego boję się słów, które odbierają mi to, co chciałbym pozostawić w sobie jako swą tajemnicę, swą ciemność, jako coś, co sprawia, że w ogóle chce mi się pisać.

Tworzyć zdania.

Ze SŁÓW.

No i właśnie! — oto jak z twego wroga, słowo zmienia się w sprzymierzeńca.

Bo poza wszystkim, czemu odbiera magiczną moc, słowo potrafi też moc magiczną nadać. Potrafi ono wypełnić pustkę, o ile dręczy cię pustka, zwymiotować wściekłość i wrzask, o ile masz go w sobie zbyt wiele, zredukować życie do dobrze znanych, wygodnych pojęć, o ile lęka cię jego nieprzejrzystość.

Nie wiem. Nic nie wiem.

Sam sobie zadaję te wieczne pytania, na które nigdy nie ma odpowiedzi.

Po co, do diabła?! Nie mam przecież tego języczka giętkiego jak wąż i tego mózgu pakownego na wszystkie okazje, i serca dmuchanego jak balonik, i oczu czujnych naokoło głowy.

Jestem taki sobie. Dość leniwy.

I często wolę pogapić się na czyjś tyłek, niż czytać mądre książki. (...)

Jest. Noc. Na stole trzy zeszyty. Cztery książki. Obok dwie filiżanki po kawie. Paczka papierosów «Caro». Brązowa serweta.

Radio. Budzik tyka.

Półka na książki. Kafka. Apollinaire. Proust.

Trochę dalej «Fizjologia człowieka», «Seksuologia kliniczna».

Słownik niemiecko-polski. Wiersze Lieberta.

Typowość tego pokoju. Symboliczność mnie w nocy, w fotelu, z zapalonym papierosem. Brahms. Nocna lampka.

Wszystko w stylu. Czytam. Strząsam popiół do popielniczki.

Umieram z nudów, lecz czytam. Nudzę się w sobie i na zewnątrz.

Kto to powiedział: człowiek mądry nigdy się nie nudzi. Ja się nudzę.

Choć jestem mądry.

Jestem mądry, bo czytam.

Kto czyta mądre książki, ten jest mądry.

Moje książki są mądre.

Więc i ja jestem mądry.

Skąd wiem, że moje książki są mądre?

Bo ja je czytam. A ja nie czytam głupich książek.

Skąd wiem, które książki są mądre, a które głupie.

Nie wiem. Tak się z sobą umówiłem, że jedne będą takie, a drugie inne.

Czytam książki, co do których sam się z sobą umówiłem, że są mądre, aby być mądry.

Kto czyta mądre książki, ten jest mądry.

Akurat tak się składa, że wszyscy, którzy chcą być mądrzy, uważają się uważać za mądre te same książki.

Kafka. Ulisses. Proust.

To, co jest trudne, to jest mądre.

To, co jest łatwe, jest głupie.

Łatwy jest kicz. Trudny jest Picasso.

Zaś dla głupiego zupełnie co inne będzie trudne.

Ale jest dość sprytny, aby udawać, że nie jest.

Czyta więc Kafkę.

Umiera z nudów.

(Czytam.

Umieram z nudów).

Paczka papierosów «Caro». Brahms. Wszystko jest nonsensem. Jestem głupi. Umieram z nudów czytając mądrą książkę.

(Pytanie: a może by tak zupełnie inaczej się umówić???)